

Mówiłeś coś, lasko Arona? Czy ja dobrze słyszę? O tak, znam ten dźwięk! Lubię, kiedy tak do mnie mówisz, podporo mojej starości!

Proszę! Butelczyna jak się patrzy! Nieduża, owszem, ale za to ciężka! Popatrz no, Urielu, ona tam coś ma w środku — pewnie okręt. To dobrze — okręt lubi pływać!

Ależ dziwnie zamknięta i tak mocno, że odbić nie da rady. Chodź tu, Holenderski Pogrzebaczu, szyjkę małpeczce przetrącimy, łeppek ukręcimy i wyrzucimy... Czekaj! To przecież wcale nie okręt! To... świat! A pośrodku góra — na niej różgami żęty wisi na krzyżu, a pod nim dwaj ludzie stoją, tacy maleńcy... Jeden włócznie trzyma w ręku, całkiem do ciebie podobną, Urielu, i patrzy na mnie, jakby na coś czekał. Jezu Chryste, z jaką on patrzy złością! Mruga do mnie i krzyczy! Nie da rady, Urielu, trzeba zaraz butlę rozpić, bo się wścieknie, malutki. A tak się zaburdiuczył, jeszcze chwila, a szkło rozsadziiiiiiiiiiiiiiii-ooooooooo!

To koniec... Urielu...

Tylko się mnie mocno chwyć, żeby nas wiatr nie rozdzielił! Skąd on się tu wziął, czemu tak wieje? Gdzie ty jesteś? Nic nie widzę, bo ciemność, i ciało chłodem mi wzbiera, ale mnie nie zostawiaj — jak wiatr ucichnie, pójdziemy dalej, ty i ja, bez ciebie rady nie dam, duszo moja, żeby tylko ten wiatr już przestał... żeby przestał tak wiaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa...

Longinus

Aaaaaaaaaaaaaaaaaaaaaa!

Co za piekielny wiatr, Stefatonie!

Od kiedy tu stoimy, a będzie tego... sam już nie wiem, nigdy jeszcze takiego wiatru nie było. Żeby nam tylko czego złego nie nawiał!

Przez ten wiatr, Stefatonie, trudno prawdę pochwycić, tak straszliwie rozproszyły się wszędzie przyczyny i skutki! O, ten tam, na Górze, z nich trzech najwyższy, mówią, że cuda robił w wolne soboty, ale czy to teraz pewne?

A do gęby tyle piachu mi nawiało, że choćem jeszcze nie umarł, już mi się zdaje, że ziemię gryzę! Tfu!

A zresztą: skąd mam wiedzieć, że nie umarłem? I czy jutro albo, damy na to, za trzy dni nie wstanę, żywy i cały? Czas, poszarpany tym przeklętym wiatrem, jest jak poputa pajęczyna — niczego już nie może złapać w swoją sieć. Żyjemy w przyczynowo-skutkowej diasporze, Stefatonie! Resztki naszego życia rozłazą się po cudzych biografiach — przeznaczenie, które bez słowa opuściło cię przed laty, nagle do ciebie wraca, jak gdyby nigdy nic, z obcym spojrzeniem w oku, skruszone chorobami, i skomli, żebyś je przyjął z powrotem!

Koniec zupełnie pomieszał się z początkiem: kobiety rodzą teraz własnych przodków! Zdarzenia dawno pogrzebane i opłakane jak widma wstają ze swoich grobów i krążą... krążą... To przez ten wiatr tak krążą, mówię ci, Stefatonie! Wszystko rozwłózione, jak baranie jelita po rzeźnickim podwórku! Nie dałbym głowy, czy i sprawa tego tam, Co-Najwyżej-Wisi, nie zaczyna się i nie kończy w dowolnym miejscu i czasie, zawsze i wszędzie, i na wieki wieków, aaaaaa... A prawda, Stefatonie, nie będzie nam mogła wystawić na koniec swojego świadectwa, ponieważ prawda, Stefatonie, jest we Wszechświecie miejscem nieskończenie małym i niepodzielnym! Jak ziarenko piasku. Dlatego trudno ją będzie znaleźć! Chociaż...

Pamiętam, jak tydzień temu na Placu Mistycznej Jedności spotkałem tego malarza, Lulisa. Do ziemi nachylony podnosił był właśnie znaną pomarańczową ciągutkę. „Musiało jakieś dziecko...” — mamrotał nieprzytomnie. Ciągutka owa, przyszyta potem do płótna, stała się zarzewiem płomiennoczerwonego obrazu, a Lulis chodzi teraz dumny jak paw i chwali się przed wszystkimi jakąś prawdą, która rzekomo tkwi w jego dziele!

Też coś! A cóż to za prawda, co na ulicy leży jak psie gówno, i tylko uważać na nią trzeba, żeby się do butów nie przykleiła? Ja o takiej mówię, co była na początku, zanim się to wszystko z hukiem nie rozpękało, rozprysło, rozwiało, zanim nie zaczęło uciekać samo przed sobą. Ja o prawdzie pięknodobrej mówię, nadobnej i miłosiernej, co się zmieści w żrenicy oka! O takiej, którą byś jedną ręką ucapił i czapką nakrył! Ale kto ją znajdzie? Porozłaziło się wszystko jak mrówki, a każda inny kawałek prawdy niesie

w swoją stronę. Kto by to teraz do kupy umiał zgarnąć, sam nie wiem.

Podśluchałem przedwczoraj na targu rybnym, jak Najwyższy tłumaczył swoim ludziom, żeby się nie martwili, bo on tu niedługo wróci, a razem z nim CAŁY Wszechświat powróci do swego początku. Znow zostaniemy zamknięci w nieskończenie małej prawdzie punktowej, małej jak ziarenko piasku. Skutki przestaną szwendać się samopas w poszukiwaniu swoich przyczyn, bo wszystko będzie w jednym miejscu, pod ręką. I żadnych wątpliwości, tylko: „TAK! — TAK! NIE! — NIE!”.

Najwyższy mówił jeszcze, że teraz najprzedniejszy z szatanów, co go nazywają Fabricator Fragmentorum, zszedł między ludzi i kusi ich, żeby sięgnęli po część, a ta niechybnie nasyci ich całością. Że pełnię prawdy z ułamka będą mogli wywieść, a byle jaki śmieć, odpadek, resztkę nadgnała czy ogryzek, frazes przytulny — wszystko, Stefatonie, może się dzisiaj przydać! Wystarczy tylko dobrze nadmuchać...

Ale ja wiem, Stefatonie, to nie żaden Fragmentorum ani szatan, tylko... moja ciotka! Moja ciotka Alma Wieherstahl!

Nie mówiłem ci o niej? Ta zająca kobieta żyła z rozdrabniania dziedzictwa Wieherstahlów na kwadraty i trójkąty. Wielkimi nożycami cięła suknie babek i mundury dziadków, cholewy i rękawice, czapki i czepki, sakwojaże i safianowe okładki książek, a kiedy już wszystko, co zostawili nam nasi przodkowie, zredukowane zostało do dwóch nie najbardziej w końcu wyszukanych figur geometrycznych, ciotka zszywała ich krawędzie według siebie tylko wiadomego klucza i sprzedawała w renomowanych gale-

riach sztuki. Trzeba ci wiedzieć, Stefatonie, że zawsze znajdowali się chętni na szlachetny materiał, nawet tak dziwacznie przerobiony.

Kiedy na koniec cała tradycja — z braku lepszego określenia nazwę ją „miękką” — została już przez ciotkę zgilotynowana, Alma niepostrzeżenie, lecz wcale zręcznie, zaczęła włączać do swoich kompozycji resztki stołowej zastawy, wyłysiały szczoteczki do zębów, cynowe misy i staromodne kałamarze. Nie uwierzysz, Stefatonie, jak bardzo ceny jej makat poszły wtedy w górę! „Ze względu na ogromny realizm” — jak mi wyjaśnił pewien krytyk sztuki. Pamiętam, jak raz zastałem moją ciotkę zajętą komponowaniem trójkątno-kwadratowej wersji „Bitwy pod Grunwaldem”: wszystkie detale, łącznie z bronią, końską uprzężą i brodami rycerzy, wydawały się najzupełniej autentyczne! Szczególnie po tej stronie obrazu, po której niegdyś walczyli Wieherstahlowie. Pośrodku zostało jeszcze puste miejsce na konie, ale autorka nie chciała zdradzić, jak zamierza rozwiązać ten problem. Dopiero z prasy dowiedziałem się przypadkiem, że „znana artystka, Alma Wieherstahl, pochłonięta preparowaniem końskich zwłok, nasyciła okolicę tak potwornym smrodem, że zrozpaczeni sąsiedzi musieli wystarać się o policyjny zakaz realizmu w jej twórczości”. Realizm to najbardziej cuchnący ze wszystkich stylów! I trzeba ci jeszcze wiedzieć, Stefatonie, że ciotka na koniec... również... sama... Nie wiem, jak to powiedzieć. Ona własnoręcznie pozbawiła się naturalnych konturów! Nożyczkami. Kawałek po kawałku! Całkowicie i bezkompromisowo... „Biedny van Gogh!” — mawiała zawsze. „Jedno ucho to było stanowczo za mało!” — i rozplynęła się we własnym dziele. Teraz jest wszędzie i wszystkim, rozpościera się aż

po widnokrąg, widzę nawet, jak zza chmur prześwitują jej fastrygi. Ona też, Stefatonie, szukała prawdy, ale to nie było żadne tam ziarenko piasku, o nie! To była prawda, co się ja samemu z mozołem zszywa dzień po dniu własnymi rękami. Prawda jak pełnia, co każdy fałsz potrafi sobą ogarnąć, prawda, by tak rzec... PŁASKA! Tak, Stefatonie, PŁASKA — jakby zredukowana do dwóch wymiarów, lecz w istocie swojej nieskończona ARCYMAKATA!

To jest prawdziwa prawda! A nie jakaś... tfu! Punktowa! Oj! Żeby z tego tylko jakiego nieszczęścia nie było: jak mi raz do kondoma ziarenko piasku załazło, przez tydzień dotknąć się nie mogłem!

A teraz, jak Najwyższy wróci, to znowu wszystko będzie w jednym... Jakby nam mało jeszcze było tego stania w JEDNEJ butelce przez tyle lat!

Powiem ci, Stefatonie, że ja się już drugi raz tak uwięzić nie pozwolę, w żadnej prawdzie, żeby nie wiem jaka była... Nie dam sobie wędzidła z prawdy założyć, bo to jest jak paraliż albo sama śmierć! A temu tam, co najwyżej wisi, też już wrócić nie dam... Jakem to robił przez tysiące lat w butli zamkniętej — tak teraz, i zawsze, i na wieki wieków...

Podaj mi włócznię, Stefatonie. Przygwoźdź go tak, że już nigdy nie wróci! Gdzie moja włócznia? Dawaj ją szybko!

Pospiesz się, Stefatonie, żeby nie było za późno!

Szybciej! Szybciej!

Dawaj włócznię! Bo ja się już w żadnej prawdzie zamknąć nie pozwolę!

W prawdzie maleńkiej jak ziarenko piasku uwięzić się nie dam, Stefatonie!

Nie dam!

Nie daaaaaaaaam!